ROZMAITOŚCI.

Dnia 18. Maja | N.[er] 20. | Roku 1844.

Odstrzelona noga.

POWIEŚĆ Z WOJNY 1809. ROKU.

Byłoto już po krwawych bitwach pod Ratysboną i Eckmühl. Zwycięzkie wojska francuzkie postępowały z pospiechem w głąb Austryi ku owymto polom pod Aspern, gdzie szala wojennego szczęścia tak strasznie się zachwiała; pod Aspern, które jak owe płomienne farsalskie widmo, zdało się napominać zapamiętałego wojownika: *»Za trzy lata, na pogorzelisku Moskwy, ujrzysz mię znowu!«*

Już byli Francuzi przeszli rzekę Inn, gdy ja, pod ówczas jeszcze student, znajdowałem się przy krewnych, w mojém, w wyższéj Austryi przy gościńcu leżącém rodzinném miasteczku o starożytnym klasztorze.

Dla zagrażającego wtargnienia nieprzyjaciela, szkoły były zamknięte, a mnie pozostawiono do woli, albo udać się do wuja w Styryi, albo wytrwać przy moich krewnych, których majątkowe okoliczności do tego miejsca koniecznie wiązały.

Pragnąłem téż oddawna choć raz widzieć bitwę; więc pozostałem. Niebyło bowiem najmniejszego wątpienia, iż tu jakieś wojenne zajście nastąpi.

Na rynku miasteczka, przed głównem wnijściem do klasztoru, rozchodzi się w dwie strony gościniec prowadzący do Wiédnia. Jedna jego gałąź zwraca się na prawo ku rzéce Traun, płynącéj poniżéj miasta. Przez most na téjże rzéce — przez który wiedzie droga do Styryi, widać było idące oddziały austryjackiéj piechoty, jazdy, i liczne wojenne zaprzęgi, które w skutek zaszłych wypadków pod Eckmühl, zostawszy odciętémi od głównéj armii, cofając się wzdłuż lewego brzegu Dunaju, ku Wiédniowi spieszyły.

Po tamtéj stronie mostu, który już smolnémi wieńcami był obwieszony, stało o 40 kroków od rzéki, kilka ubogich chałup, gdzie się kompanije Kroatów, czyli tak zwanych celnych strzelców uposadniły, dla zasłaniania odwrotu oddziałów wojska i wstrzymania ile możności ścigajacego nieprzyjaciela.

Już zaczęły były ustępujące oddziały wojska, jak i pociągi wozowe, coraz rzadziéj przez most przechodzić, a nareszcie ze wszystkiém ustały. Działo się to 2. maja 1809. r. o 11. godzinie przed południem. Miałem jeszcze przed zbliżającą się katastrofą dość czasu do ucieczki; jeszcze było można most przebyć.

Całe miasteczko stało jakby od morowego powietrza wyludnione. Znaczna część mieszkańców schroniła się z dobytkiem w góry albo rozpierzchnęła w odleglejsze okolice. Pomniejsza część, a z nią i moi krewni, znaleźli przytułek w samym klasztorze, w którego odleglejszych zabudowaniach wyznaczono im na piérwsze natarcie nieprzyjaciela, ukryte schronienie. Spodziéwano się albowiem, iż klasztor będzie następnéj nocy zajęty na główną kwatérę dla cesarza Francuzów, a przeto zostanie przynajmniéj od rabunku zabezpieczonym.

Starcy i dzieci, mężczyźni i kobiéty, mieścili się w tém schronieniu bez wszelkiéj różnicy. Nieprzyjaźni sąsiedzi i ludzie, którzy się już od wielu lat nienawidzili, zapomnieli w swoim terazniejszym ciasnym zakątku dawnéj niechęci, a wspólném pojednani niebezpieczeństwem, stali się najszczérszymi przyjaciołmi.

Pomiędzy nami schronionymi, a szczególnie między mieszkańcami klasztoru, pano-

wała przy coraz bliższém niebezpieczeństwie, owa ciężka i trwożna cisza, która nieuchronne, rozstrzygające wypadki zapowiada; napotykałeś tam prawie same twarze, na których się tylko bojaźń i lękliwe oczekiwanie malowały. Przy téj sposobności można było zrobić nie jedno psychologiczne postrzeżenie; nie masz bowiem czasu, któryby był przydatniejszym okazać wartość charakteru, jak chwile niebezpieczeństwa. Ludzie, o których sądzono, iżby się na ich odwagę spuścić można było, okazywali trwożne pomieszanie, któregoby się po nich nikt był nie spodziewał; inni zaś, na których męztwie nie bardzo przedtém polegano, mieli tak śmiałą, ochoczą minę, iż odtąd wszyscy dla nich szacunek powzięli.

Zdala od zachodu dało się już grzmienie dział słyszéć. Lecz gdy się z téj strony nic jeszcze nie pojawiało, wtedy kilku duchownych, ja i kilku jeszcze mieszczan, wyszliśmy na klasztorną wieżę, z któréj się właśnie w tę okolicę daleki widok otwiérał zkąd nieprzyjaciele przyjść mieli. Długośmy nic dojrzéć nie mogli, aż nareszcie zaczęło mi się zdawać, jak gdybym w dalekiéj odległości coś jak stal świécącego się widział, i co się naprzód jakby kręty wąż posuwało.

Przyniesiono spieszno dalowid i poznano, iż to były kolumny francuzkiéj piechoty, któréj broń jakby śrébro w majowém słońcu lśniła. Zważywszy jednak odległość miejsca pojawienia tego, łatwo wnieść było można, iż do nas nie prędzéj jak po południu zdążyć będą mogli. Zabawiwszy z pół godziny na wieży, zeszliśmy na dół i stanęli przy oknie wychodzącém na targowicę miasta, aby widziéć przybycie przedniéj straży nieprzyjacielskiéj, któréj się już co chwila spodziéwać było można.

Od strony rzéki wiły się gęste, czarne obłoki dymu, a pośród tychże wzbijały się ciemno-czerwone słupy ognia do góry. Byłyto wrzące płomienie naszego smolnémi wieńcami podpalonego mostu, którego znaczna część z prawego brzegu, gdzie się Kroaci do odparcia nieprzyjaciela ustawili, od ognia była już zniszczona.

Wszystkim nam przy oknie stojącym biło serce z trwogi i niespokojnego oczekiwania. Nikt nie śmiał przemówić i słowa; a tę głuchą ciszę przerywał tylko trzask palącego się mostu, łomot i syczenie padających w rzekę roztlonych desek i belków.

Wtém, nimeśmy spostrzegli, nadleciało z rozpuszczonym cuglem i odwiedzionym kurkiem dwóch jeźdców wzdłuż targowicy, a za nimi przygnał hufiec z 20 albo 30 ludzi. Bylito francuzcy szaserowie. Uszykowali się na placu przed klasztorem. Zaledwie to się stało, już przy odgłosie trąb przygoniły znaczniejsze oddziały téjże saméj broni i ustawiwszy się na rynku, zrobiły front széroki.

Ale zaledwie kilka chwil postali, ruszyła już większa część tego pocztu, jako straż przednia, daléj gościńcem ku Wiédniowi. Dziesięciu albo dwunastu pognało ku palącemu się mostowi, lecz przyjęci wystrzałami od stojących po tamtéj stronie rzéki Kroatów, wrócili się spiesznie do miasta.

Kilku z nichże zbliżyło się do zamkniętéj fórty klasztoru i zaczęło gwałtownie bić we drzwi. Teraz dopiéro odstąpiło mię moje nieugięte męztwo zostawania dłużéj przy oknie i uznałem za rzecz zbawienną, cofnąć się ku oddalonym częściom zabudowania, gdzie się nasi schronieni mieszkańce znajdowali.

Widok z klasztornych okien drugiego piętra, od strony południowéj, w któréj było właśnie nasze mieszkanie, jest — jak to wszyscy podróżnicy zaświadczają — w istocie czarujący.

Od śnieżnych wierzchołków salcburskich i tyrolskich alpów z prawéj strony, toczy się zdumione oko aż w lewą stronę po olbrzymie szczyty Styryi i po górę Oetscher. Pośrodku téj pysznéj panoramy wznosi olbrzymi Dachstein swoję świécącym lodem uwieńczoną głowę aż w same niebiosa, przewyższając dumnie całą austryjacką Szwajcaryję.

Prosto przed nami, a dla swéj poblizkości, daleko jeszcze większym i wznioślejszym wydający się niż jest w istocie, stoi potężny Traunstein z owym sławnym, ku niebu obróconym profilem, jakby stał na przedniéj straży alpów noryjskich.

Po prawym boku od naszego stanowiska, w dolinie, przez którą rzéka płynie, w bez-

piecznem od kul oddaleniu, była scena boju — to jest most.

Z okien naszego schronienia, które były przepełnione widzami, można było dokładnie rozeznać wszystko co się działo na dole.

Ile razy się oddziały francuzkiej jazdy z téj strony mostu pokazały, tak zaraz po tamtéj stronie rzéki z po-za domów i płotów zaczajeni Kroaci dawali ognia, a jazda nie mogąc na nich uderzyć, cofnąć się musiała.

Uważałem bardzo dobrze jak za każdym wystrzałem Kroatów, nieprzyjacielscy żołnierze drugiego szeregu,nachylali się za plecami piérwszego, jak gdyby się za tą żyjącą ścianą od morderczych kul ustrzedz chcieli.

Te, i wszystkie następujące wypadki, są mi w tak świeżéj pamięci, jak gdybym ich był dożył dnia wczorajszego.

Owo pojawienie się i znikanie pojedyńczych oddziałów jazdy trwało przeszło godzinę; aż na koniec nadeszła piechota i cała scena się zmieniła, a krwawy bój się rozpoczął.

Na sam przód starali się Francuzi ugasić natychmiast ogień na moście; pozrzucali spiesznie resztę wiszących jeszcze smolnych wieńców w wodę, postąpili śmiałym krokiem aż na sam koniec płonącego jeszcze mostu i rozpoczęli żywy plutonowy ogień przeciw Kroatom po tamtéj stronie rzéki będącym. Ale że ci domami i płotami byli zasłonieni, przeto nie brały im francuzkie strzały wiele ludzi, gdy przeciwnie nieustanny, ze wszystkich okien rażący ogień Kroatów, niczém nie ochronione francuzkie szyki na otwartym moście srodze pustoszył.

Wkrótce domy, most i walczących pokryły gęste dymu tumany, które tylko błysk i grom strzałów niekiedy rozdzielał; a gdy przypadkiem silniejszy powiew wiatru masy dymu rozsłonił, strach było patrzyć, jak co chwila padł któryś z walczących na moście, lub kulą przeszyty zleciał w wezbraną roztajanym śniegiem rzékę, i w jéj rwących falach zniknął nazawsze.

Mimo to jednak cisnęło się coraz więcéj Francuzów na most i śmiało szło naprzód, chociaż celne Kroatów strzały co krok trupem ich kładły. Byłato już trzecia godzina z południa.

Nagle zaczęły się wzgórza po prawéj stronie mostu ożywiać. Rozwinął się na nich ledwie dojrzany, széroki i skrzętnie uformowany front wojskowy, a nimeśmy sobie o tém nowém zjawisku jeszcze naszych domniemywań udzielić mogli, już wybuchnął z tegoż frontu ogromny, z ognistą błyskawicą połączony słup dymu, a huk, podobny do straszliwego uderzenia piorunu, złamawszy się w powietrzu i zatrząsłszy ziemią, długo się po dalekich lasach za rzéką Traun w dal rozlegał. Po tym piérwszym grzmocie szedł szybką koleją jeden po drugim.

Byłato bateryja francuzkiéj konnéj artyleryi, która rozpoczęła regularny ogień bojowy i kulę za kulą na osadzone przez Kroatów domy warła. Krwawa scena na dole, na którąśmy z góry patrzyli, zaczęła się teraz stawać coraz bardziéj straszliwie zachwycającą. Nieustanny z działowémi grzmotami zmieszany łoskot ręcznéj broni na moście, hałas bębnów, krzyk i natłok Francuzów, wreszcie grzmienie polnéj muzyki i wrzaskliwość trąb, dolatywały nas od piechoty i jazdy po-za rzéką gościńcem ku niższéj Austryi nawalnie dążącéj. Ta cała nad wszelki opis zdumiewająca wojenna wrzawa, mogła w istocie unieść umysł i rozpalić wyobraźność takiego jak ja młodego chłopca.

Tymczasem rozeszła się pomiędzy nami pogłoska, iż sam już Napoleon do klasztoru przybył i z okien opactwa w pobliżu krzyżujących się kul działowych, postępowi toczącego się na moście boju przypatrywał.

Lecz tam już rzeczy teraz stanowczy obrót wzięły. Zdarzenie chciało, że o spalony na poły most, który prawdę mówiąc, zanadto późno był podpalony, oparł się jeden duży belek w ten sposób, iż niby kładkę ku przeciwległemu brzegowi stanowił. Jeden z francuzkich oficerów korzystając z téj okoliczności, natchniony obecnością swego cesarza, zamyślił po tym belku przypuścić szturm ku zajętym przez Kroatów budynkom.

Skinąwszy szpadą na towarzyszów broni, wszedł piérwszy na wązką niebezpieczną kładkę, to jest na zwisłe, poczęści jeszcze palące się i rozżarzone drzewo. Tuż za nim poszedł jeden za drugim, a wkońcu prawie

wszyscy będący tam Francuzi wybrali się w tę zapamiętałą przeprawę.

Przeszedłszy już po belku i dostawszy się, idąc po biodra w wodzie, na tamtę stronę brzegu, puścili się spiesznie — nie zatrzymując się strzélaniem — z bagnetem w ręku ku osadzonym domom. To wszystko działo się śród rzęsistego nieprzyjacielskiego ognia.

Kroaci, zagrożeni z frontu od naciérających Francuzów, a z boku działowémi kulami, które już szérokie wyłomy w murach porobiły, musieli opuścić swoje stanowisko w domach, w których już dłużéj utrzymać się nie mogli, a ścigani zaciekle od Francuzów i niszczeni od kul armatnich, nie ustając walczyć i strzélać, cofnęli się przez pole po-za domami ku poblizkiemu lasowi, gdzie złączeni z stojącą w odwodzie austryjacką konnicą, w dalszą drogę ku Styryi uchodzić zaczęli.

Francuzi nieśmiejąc ich gonić aż ku lasowi, wstecz się zwróciwszy, jęli pracować wszelkiémi siłami około naprawiania mostu i sprowadzenia łodzi.

Tak więc skończył się ten wojenny improwizowany dramat na południowéj stronie; byłem przeto ciekawy, co się na stronie północnéj dzieje i ujrzałem tam nowy ale niemniéj spaniały i uderzający widok.

Głębiéj na dolinie, u stóp pogórza, na którém klasztor stoi, defilowały nieprzerwanie przy odgłosie trąb i bębnów, jedne po drugich, szeregi to jazdy to piechoty wzdłuż gościńca prowadzącego ku Wiédniowi.

Byłoto w istocie przepyszne, jedyne w swoim rodzaju widowisko, któremu się dosyć nadziwić nie mogłem, patrząc na te dobornie uzbrojone, w wieczornem słońcu połyskujące legijony, prowadzone żelazną ręką i wolą sławnego Korsykanina; patrząc mówię na te bitne legijony, z najdzielniejszych synów Francyi, Niemców i Włochów złożone, których kości po niewielu latach w dzikich pustyniach Rosyi miał pokryć ogromny całun śniegów i lodów!

Nagle nadjechał ostrym kłusem na siwym koniu jakiś jeździec w towarzystwie jednego tylko oficera, a z każdego pułku, po przed który przejeżdżał, grzmiał koleją okrzyk: »Niech żyje cesarz!« Byłto Napoleon wracający z rekognoskowania do klasztoru.

Opuściłem spiesznie moje obserwatoryjum i pobiegłem na dziedziniec klasztorny aby ujrzéć zbliska tego wielkiego męża, lecz przybyłem za późno. Napoleon już się był udał do swoich, tak pysznie, jak tylko na prędce było można, umeblowanych pokojów, z których wszystko miejscowe, jakoto łóżka, szafy i t. p. powynosić kazano. Proste tylko łóżko polowe, przyrządzone od dworzan cesarskich, służyło za nocleg Napoleonowi.

Całe podwórze było natłoczone żołnierzami tak zwanéj staréj gwardyi, którzy cesarza ani na chwilę z oka nie spuszczali, a wszystko co nie było Francuzem, podejrzliwym wzrokiem mierzyli. Byłyto same olbrzymie postacie, których marsową minę jeszcze bardziéj ich ogromne niedźwiedzie czapki powiększały.

Gdy mię w takiém towarzystwie nie mały strach przejął a już się zmierzchać zaczęło, więc chciałem się co prędzéj wrócić do naszego schronienia, i na moje nieszczęście, puściłem się jednym nieco odległym kurytarzem.

Ledwie kilkanaście kroków uszedłem, gdy oto nagle rozjaśniło się sklepienie blaskiem pochodni, a ja ujrzałem kilku z pobocznéj sali wychodzących ku mnie Francuzów, którzy na noszach z gałęzi nieśli ranionego Kroata. Przodem szedł jeden z pochodnią w ręku.

Chciałem się zwrócić co prędzéj, lecz ów niosący pochodnię, już mię uchwycił za kołniérz i mówiąc: »*Garçon, prenez le flambeau!*« wetknął mi nie bardzo łagodnie do rąk palącą się pochodnię; poczém pchnąwszy mię naprzód, dał mi wyrazistą pantomimą do zrozumienia, abym im świécił.

Nie mogąc o sprzeciwianiu się ani pomyślić, stałem się w mimowolny sposób świadkiem sceny, któréj sobie dziś jeszcze bez wzdrygnienia wspomnieć nie mogę. Zabłąkałem się bowiem w ową stronę klasztoru, która była przeznaczona na szpital.

Minąwszy kilka cel przepełnionych jęczącymi rannymi, zwróciliśmy się do obszernéj sali, gdzie rannego Kroata dość niemiłosiernie na stół złożono.

Krew, która od czasu do czasu kroplami z rany cierpiącego na kamienną posadzkę

kapała, zrobiła za nami długą ścieżkę na kurytarzu.

Mając ze szkół początki języka francuzkiego, wyrozumiałem z rozmowy moich towarzyszy, iż to byli chirurgowie, którzy kazali na to przynieść tu ranionego Kroata, aby się w amputowaniu doświadczali.

Działowa kula ztrzaskała Kroatowi lewą nogę powyż kolana. Trzeba ją było odjąć koniecznie, gdyż tylko jeszcze na rozerwanych mięsnych częściach wisiała.

Po obojętności, z jaką chirurgowie swe operacyjne instrumenta przyrządzali, mogłem poznać, iż im na złych lub dobrych skutkach operacyi nie wiele zależało, chodziło tu bowiem tylko o żołnierza nieprzyjacielskiego, którego życie w ich ręce oddane było.

Ranny Kroat, piękny w samym kwiecie mężczyzna, z ujmującemi, regularnémi rysami twarzy, spoglądał na przyrządzania do operacyi z ową spokojnością i determinacyją żołnierza, kóry powinien być przygotowanym na wszystko. Niekiedy tylko wstrząsła nim silna gorączka z rany pochodząca.

Jeden z chirurgów chciał mu do ust włożyć ołowianą kulę, aby podczas amputacyi miał na czém boleść swoję wywrzéć, lecz on cisnął mu kulę z pogardą pod nogi i rzekł: »Wolałbym aby ta kula przeszyła pierś waszego tyrana! Dajcie mi tytoniu!«

Byłem bardzo ciekawy jakie wrażenie sprawią te słowa Kroata, które jeden z chirurgów na język francuzki swoim kolegom przetłumaczył; ale na chwałę Francuzów wyznać muszę, iż ich te przykre wyrazy bynajmniéj nie oburzyły. Przyjęli z pobłażaniem słowa wywołane miłością ojczyzny i rozdraźnieniem ciężko rannego i walczącego ze śmiercią żołnierza. Jeden z chirurgów podał mu swoję fajkę.

Należy wyznać, że prawdziwa stoiczna obojętność, z jaką Kroat paląc fajkę, wytrzymał kilka minut trwającą amputacyję, zjednała mu podziwienie francuzkich lekarzy, umiejących i w nieprzyjacielu cenić spartańską cnotę panowania nad sobą samym, i znoszenia bolu z największą cierpliwością.

W ciągu operacyi utkwił cierpiący nieporuszenie swój wzrok w mały szkicowany portrecik, wyobrażający miłe oblicze jakiejś młodéj dziewczyny.

Konwulsyjnym ruchem trzymał on ten z zanadrza wydobyty obrazek obiema rękami, których sobie dla ulżenia operacyi nie chciał w żaden sposób dać związać. Byłto zapewnie obraz wiernéj kochanki, a wspomnienie o niéj było owym talizmanem, który mu pomógł znieść te okrutne męczarnie.

Zimny dreszcz mnie przejął przy téj okrutnéj scenie. Nie mogłem od łez się wstrzymać na widok téj jednéj, z owych nieprzeliczonych ofiar wojny. Miałem zaledwie dość sił aby utrzymać pochodnię, która na całą grupę ponure światło rzucała.

Odjętą nogę wyrzucono za okno do ogrodu.

Nareszcie zmiłowali się lekarze mojéj bolesnéj twarzy i kazali mi odejść. Nie łatwo jednakże zdołałem się wydobyć z téj katusznéj sali, która się coraz większą liczbą rannych Kroatów napełniała. Gdym się wydostał na wolność, już było zupełnie pociemniało.

(Dokończenie nastąpi.)

Prawda i obłuda.

MŁODZIENIEC.

Powiédz mi luba, znasz ty kłamstwa sieci,
W które gdy dusza niewinna raz wpadnie,
Nigdy już czysta z onych nie wyleci;
Znasz ty obłudę?....

DZIEWCZYNA.

Wiém że to nie ładnie
Mówić inaczéj — a myślić inaczéj;
Lecz co obłuda, to nie wiém co znaczy.

MŁODZIENIEC.

Pójdź moje dziécię; ile skreślić mogę
Dam ci obłudy i kłamstwa przestrogę:

Spojrzyj w okolo n.
Wszędzie zdrój praw.

Wszak to wiesz, że
I to niebo co się świe.,
I tak grzeje, jak gorące
Czucie matki grzeje dzieci,
I te gwiazdy co tysiące
Na niebieskiém iskrzą łonie,
Ziemię co cię wykarmiła,
I te kwiatki których wonie
Poją serce — oko nęcą —
Ten gaj cichy, to ustronie,
Co milémi pieści chłody;

Te strumyki co się kręcą,
Wiją, szemrzą; a też wody,
Których jasne — czyste lica
Jak pogodna twarz księżyca,
Co się z blaskiem słońca pieści
Jak z kochankiem wzrok niewieści —
— Cóż to? Wiész, że stwórcy siła
Wszystko — wszystko to stworzyła?..
Że to prawda — przyznasz luba?...

DZIEWCZYNA.

Tak jest!..

MŁODZIENIEC.

Dokąd zwrócisz myśl i oko,
Jak daleko i szeroko —
Wszędzie do niéj prosta ścieżka;
Ona wszędzie — wszędzie mieszka. —
Ta harmonia w tworach świata,
Co miłością serca splata:
Ziemię — gwiazdy — słońce — morze
Wieczór — ranek — księżyc — zorzę,
Które tajną mową świętą —
Ach, miłością niepojętą!
Wiecznie z sobą żyją w zgodzie
Jak kwiateczki w twym ogrodzie, —
I to przyznasz mój aniele,
Że twój duch się wznosi, ściele
Razem z rannèm krwawém słońcem,
I myśl biegnie w niebo gońcem
Po nad góry —
Wyżéj — w chmury,
Aż na rajskim spocznie progu,
I w oblicze spojrzy Bogu! —
W téj uczuciowéj nadziemskiéj gonitwie
Karmisz się prawdą najświętszą w modlitwie.—
Powiedzże luba — czy jest co piękniejsze,
Wyższe, spanialsze, kochania godniejsze?..

DZIEWCZYNA.

Ach, ja to czuję — to mię tak przenika
Jak lubość pieśni wiosennéj słowika.

MŁODZIENIEC.

Widzisz więc, co błogie — tkliwe,
To jest *święte — to prawdziwe!...*
Ztąd i twe z Bóstwem najświętsze przymierze
W czystéj miłości — nadziei i wierze;
W niepokalaném serca uniesieniu —
W modlitwie ducha — w niewinnèm marzeniu.

Lecz co kłamstwo — powiém tobie:
Jeźli rzekniesz sama sobie,
Że to kłamstwo, co prawdziwe,
Że nie piękne, co jest tkliwe,
Że te wszystkie boskie cuda
Tylko marna, czcza ułuda,
Nie sprawiają skry uciechy,
Że roskosze tam gdzie grzechy —
To jest kłamstwo, zły duch świata,
To jest prawdy smutna strata!
Zgubna, śliska cnoty droga,
Zapomnienie wiary — Boga! —
Jeźli pójdziesz drogą inną,
Nie tą prostą i niewinną,
Co skromniuchno z bożéj dłoni
Wszystko przyjmie, nic nie strwoni;
Lub gdy w grzesznych uciech tłumie,
Nie w uczuciu i rozumie,
Leje już zwolnisz namiętności —
W serce puścisz zdradnych gości;
O, natenczas mój aniele!
Stracisz wiele — bardzo wiele,
Zadasz prawdzie cios okrutny
To jéj pogrzeb — pogrzeb smutny!
Wtenczas żegnaj szczęście duszy,
Bo egoizm nie osuszy
Żadnéj łzy z twojéj powieki,
Żegnaj szczęście twe na wieki!..
Wtedy zrywasz związek z Bogiem,
Jeźli z kłamstwem, jego wrogiem
Zawrzesz przyjaźń; piękność — cnota —
Cud natury nie dla ciebie,
Szczęście twojego żywota —
Wymazane wiecznie w niebie!

Łukasz Falkiewicz.

Słowo przestrogi.

Prawimy tyle pięknych rzeczy o narodowości, a jakże pogodzić z tém zjawisko, które na wychowanie dzieci możniejszych stanów, a przezto samo na całą ich późniejszą dążność życia, największy wpływ wywiéra? Mówiemy tu o nadzwyczajném mnożeniu się u nas francuzkich bon, których teraz już tyle wszędzie przechadzających się z naszą drobną dziatwą widzimy! O, wy biédne, ładne, tak wesoło do życia uśmiechające się dziatki! Najpiérwsze polyski waszego obudzającego się dowcipu, najpiérwsze promienie waszego czucia, najpiérwsze dostrzeżenia świata i życia — nie świętym głosem ojczyzny, nie w jéj bogatéj mowie wydobywają się one na jaw z waszego łona; — nie! — one wydobywają się w pokaléczonych wyrazach cudzoziemskiego języka, śród ciągłego bałamucenia się i wikłania r o d z i m é j myśli dziecięcia męczącém przypominaniem sobie o b c e g o słowa, przy nieustanném tamowaniu waszego niewinnego szczebiotu niemiłémi poprawkami szwajcarskiéj lub jakiéj innoświatowéj Francuzicy. Cóżto za wykrzywienie wychowania, coza przewrotność! Wszak język francuzki jest tak łatwym, jak sami twierdzicie? Czemuż więc — jeżeli się

wam już tak koniecznie potrzebném być wydaje — nie każecie się go uczyć w wieku późniejszym, kiedy przy rozwiniętych umysłowych władzach i kilkuletniém ćwiczeniu, dałby się równie łatwo przyswoić? Czyż ucho, które zresztą jest samo z siebie do schwytywania modulacyi wszelkich dźwięków usposobione — nie miałoby być w stanie uchwycić w kilku latach tak dokładnie właściwość brzmienia tego języka, aby i swoję wymowę mogło doń zastosować? Najniezawodniej. A branie przedmiotów nauki za środki wychowania, świadczy o braku wszelkiego zastanowienia się, o niedostatku wszelkiego taktu w rodzicach, którzy się tego grzechu przeciw swym dzieciom dopuszczają. Każdy naród, który sam siebie poważa, wychowuje swoje dzieci w swoim własnym języku i każe je dopiéro późniéj nauczać wszystkich umiejętnych skarbów całego świata, aż nabędą wprawy rozporządzania témi nabytémi tak naukami. Cóżto będzie za Polak z niego, komu bona wpoi swoje francuzkie wyobrażenia; komu ona swojémi nosowémi dźwiękami młodociane rozwinie serce! Dzielnażto będzie gospodyni, która wszedłszy do życia jako mała *mademoiselle,* i z wymuszonym, słodkawym, pozłótkowym mamzelskim stylem najpiérwszą podstawę swoich żywotnych nałogów odebrawszy, z témito rzeczami musi wiązać najrańsze, święte, rodzinne wspomnienia swojéj młodości! O, wierzcie, z témi obcemi dźwiękami wkrada się więcéj w duszę, niż samo tylko obce paplanie; — cały sposób myślenia wynika z tego źródła; chyba że jakieś późniejsze nadzwyczajnie silne wrażenia zatrą ślady tych poprzedniczych wrażeń. — Dzieci zaś idą w tym względzie tylko za popędem starszych. Naturalną, przyzwoitą jest rzeczą mowić po francuzku z cudzoziemcami, lecz, Bóg widzi, nienaturalną i haniebną aby na polskim salonie prowadzić »francuzką konwersacyję.« Tknąć się wszystkiego, co tylko zająć może, nie zgłębić niczego aż do wewnętrznej myśli, która prawdziwe dopiéro przekonanie tegoż przedmiotu zawiéra, — odejść tak mądrym jak się przyszło — oto owoce rozmowy w obcym języku.

Niedawno zeszedł się sławny teraźniejszy wielomowca, kardynał Mezzofanti z wiedeńskim poetą Frankl, który chociaż język czeski swoją ojczystą mową nazywa, w niemieckim przecież języku pisze.

»Czemuż pan w swojéj rodzinnéj — czeskiéj — nie piszesz mowie?« zapytał go kardynał po niemiecku.

»Piérwsze moje próby,« odpowiedział pan Frankl, »były wprawdzie pisane w tymże języku, lecz czeski poeta ma tak mało słuchaczy a więc —«

»Pan byłbyś mu więcéj słuchaczy zjednał;« przerwał Mezzofanti.

»Może! Ale czyż zresztą nie wszystko jedno w jakąkolwiek formę lub mowę ubierzem' nasze myśli i czucia? *Monsignore,* jako prawdziwy kozmopolita językowy, zgodzisz się zapewne na to zdanie.«

»Przenigdy!« odparł żywo, po włosku; »mnie język włoski, najdroższy, najmilszy w świecie! Znam wiele obfitszych i dumniejszych języków, lecz tylko w mojéj rodzinnéj mowie czuję się swobodnym i bogatym, jak w pysznéj aksamitnéj sukni. W każdym obcym języku« — dodał z niechęcią — »muszę myśleć podwójnie; najprzód nad rzeczą którą mam wyrazić, a potém nad sposobem jakim ją chcę wyrazić.«

Oto wyrok nieomylnego zapewne w tym wypadku sędziego, który umie pięćdziesiąt języków, a przecież kocha jeden tylko — ojczysty.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 20. i obejmuje: 1) O przeistoczeniu gruntów ornych na łąki i pastwiska stałe, i o poprawieniu łąk samorodnych. (Dokończenie.) 2) O żegludze do Gdańska. 3) O handlu wełny w Anglii 1843 r. 4) O dojeniu, przez K. J. Turowskiego. 5) Prośba młodego gospodarza o udzielenie rysunku i opisania jak cyganki należy stawiać. 6) O zarażeniu wąsatym u koni. 7) Tynk na ceglane mury.

Z Warszawy. *Przeglądu naukowego* Nr. 7. zawiéra: Życiorys Felixa Bernatowicza, autora Pojaty przez Sew. Ciemniewskiego, — Główne postępy mowoznawstwa przez prof. Felixa Jezierskiego, — Bal, fantazija wiérszem, przez Michała Niwińskiego. — O małéj własności ziemskiéj, przez K. — Spiew łabędzi, poezyja przez Paulinę z L. Wilkońską. — Kronika piśmiennicza polska. — Nowości.

List króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. »Z Warszawy d. 3. Januarii 1795. Mój Mości Xiężę Gawroński! Na list WCPana die 18 Xbris inaczey odpisać niemogę tylko wyrazem żalu i smutku który co raz bardziei ściska serce moie, ilekroć przychodzi mi się rozłączać z Przyiacielem, lub poznawać niemozność powrotu Jego do mnie, iaką mi okazuie tenże list WCPana. — Dość była smutna podróż moia in Aprili 1793. A iakże we troynasób smutnieysza ta w którą przynaglony iestem wybierać się w przyszłym tygodniu do Grodna. — Wtedy byłeś WCPan przy mnie. — Teraz i tey słodyczy mieć niebędę. A goryczy iak wiele więcey!... Módl że się za mnie, gdy modlić się ze mną teraz niemożesz. — Skracam pismo, abym go łzami nie zmazał. Stanisław August Król.« — List ten pisany cały własną ręką króla Stanisława Augusta do X. Andrzeja Gawrońskiego, naówczas kanclerza katedralnego krakowskiego, lektora krolewskiego, pozniej biskupa krakowskiego, znajduje się w ręku F. Gutwińskiego.

Przechadzka po wodzie. Dnia 2. maja r. b. popisowali się w Wiédniu pp. Robert Kjellberg ze Szwecyi i Tönnes Balchen z Norwegii, swoją sztuką chodzenia suchą nogą po wodzie. Próba ta odbyła się przed licznie zgromadzoną publicznością na Dunaju, w miejscu gdzie się niedaleko pływalni łączą oba jego ramiona, a rzéka przezto znacznéj szérokości nabywa. P. Kjellberg, wyszedłszy z lewego ramienia, i zmierzając ku wytkniętéj na przeciwległym brzegu mecie, przebiegł w kilku minutach odległość ćwierci mili. Tęż samę przestrzeń przebył i towarzysz jego Balchen, zaczynając swój bieg z prawego ramienia rzéki. Nowe przyrządzenie jakiego ci wodochodzcy używają, składa się z dwu małych blaszanych czołenek, mających 5 stóp długości i zupełnie podobnych do łyżew, jako się też w tenże sam sposób rzemieńmi do nogi przymocowują. Równowaga ciała utrzymuje się za pomocą dwu sznurów, którémi biegający kieruje. Obaj ci synowie północy stąpają po powierzchni wody z taką pewnością i lekkością jak akrobata na swojéj linie lub sztuczny jeździec na grzbiecie ognistych koni. Zresztą należy uważać teraźniejsze ich popisy jako piérwsze próby téj wodochodnéj sztuki, która z czasem przez częste doświadczanie może równie jak latanie po powietrzu, niespodziane przynieść owoce.

Familija króla szwedzkiego. Dzienniki francuzkie opowiadają iż w ostatnich dwu latach znajdowała się w Abbeville, w Bretanii, rodzina, składająca

się z pięciu osób, która była bardzo blisko ze zmarłym niedawno królem szwedzkim Karolem XIV. Bernadotte pokrewnioną i dotąd się swojem nadzwyczajnie skromnem życiem odznacza. Brat króla szwedzkiego zostawił syna, którego żyjąca jeszcze córka Maryja Anna Justyna Bernadotte, poszła za mąż za Jana Józefa Freug i ma czworo dzieci z tego małżeństwa. Cała familija Freug żyje bardzo ubogo, i utrzymuje się z rzemiosła kotlarskiego i druciarskiego, którem się ojciec Jan Freug zatrudnia, chodząc dla zarobku po okolicznych wioskach

Dziwactwa mody. Znana jako autorka »*Czarodziejskich bajek*« hrabina Aulnoy odbyła w roku 1679 podróż do Hiszpanii i opisała ją w trzech tomach. Owczesne mody i obyczaje były nadzwyczajnie dziwaczne. W Bayonne znajdowała się na balu. Wszystkie tamże obecne damy miały pod pachą, podług panującej natenczas mody, maleńkie prosię z pstrą obwiązką. Idąc do tańcu puszczały na posadzkę te zwierzątka, które biegając, nieznośny hałas robiły. I samże taniec nie był mniej dziwny. Mężczyźni trzymali długi kij w ręku, który tańcząc, w górę podrzucali i znowu z wielką zręcznością w powietrzu podchwytywali. W Vittoria zwidziła podróżniczka teatr, na którym grana była sztuka »*Kuszenie św. Antoniego*.« Diabeł miał płomienistoczerwone pończochy, a na głowie wysokie rogi. Ile razy święty się modlił, co bardzo często następowało, klękała z nim razem cała publiczność i biła się w piersi ze skruchą. — W Madrycie zastała pani Aulnoy szczególniejszą modę, nakazującą damom i mężczyznom nosić wielkie okulary. Mniemano, iż przezto cała postać większej powagi nabierze, lecz nic niebyło śmieszniejszego jak widzieć takie uokularzone towarzystwo pań i panów spacérujące! Margrabia de Lastorgas, wicekról neapolitański, kazał sobie zrobić swe popiersie z marmuru i przyprawić do niego duże okulary. Zresztą różniły się te okulary podług stopnia osób co je nosiły; im znakomitsza była osoba, tém większe musiały być okulary. Grandowie hiszpańscy używali ich w wielkości dłoni i nie zdejmowali nigdy, równie jak i gollilę. Było to gatunek kołnierza z dykturki, który był powleczony fałdzistą materyją i miał przeznaczenie utrzymywania głowę prosto, sztywnie i nieruchomie. Te, jak dłoń duże okulary i te dykturkowe kołniérze, nadawały wszystkim znakomitym osobom najśmiészniejszą postać. — Podobnież weszło wówczas w modę biczowanie, które kawalerowie zamieniali w oznakę swéj galanteryi. Były pewne prawidła jak się biczować z wdziękiem i osobni nauczyciele dawali lekcyje w téj sztuce, podobnie jak dziś tańcu albo szermierstwa. Ubior, którego przytém używano, składał się z najcieńszego batystu, był w maleńkie fałdy marszczony i tak széroki iż trzeba było najmniej 50 łokci. Na głowie noszono czapki powleczone batystem, mające dwa łokcie wysokości i opatrzone długą zasłoną, która spadając z góry, całą twarz zasłaniała. Przez dwa otwory na plecach widać było nagie łopatki, a z ramion zwisały mnogie wstęgi. W takim stroju kazali się panowie biczować; najczęściej proszono o to kochankę; być bowiem smaganym od kochanki uchodziło za największą łaskę. Często jednak biczowali się sami, i to na ulicy, a zwłaszcza pod oknami kochanki albo damy, której chcieli złożyć swe hołdy. Dama przypatrywała się temu przez żaluzyje u okien. Jeżeli zdybali jaką piękną damę na ulicy, wtedy przystąpiwszy do niéj zbliska, zadawali sobie dyscypliną chłostę, co miało oznaczać uprzejmy ukłon, za który ona im grzecznie dziękowała. — Kościoły były ozdobione nie tylko drogiémi kamieńmi, lecz miały jeszcze innę osobliwszą ozdobę. W środku nawy kościoła urządzono mały ogródek z murawą, kwiatami i studzienkami, z których wytryskująca woda w srebrne lub marmorowe wazy spadała. W około tych ogródków stały wielkie pomarańczowe drzewa. — Główną zaletą piękności damskiej, była największa — szczupłość. Dla tego starano się już za młodu różnémi przemyślnémi środkami nabyć téj piękności. I tak na przykład przysznurowano sobie dwie ołowiane płyty do piersi. — Jak po dziśdzień, trzymano już i w ówczas w znaczniejszych domach wielką liczbę służących. Księżna Ossuna miała trzysta młodych dziewcząt w swoim pałacu. Nie mniejszą była ilość lokajów i paziów księcia. Ale ci ludzie byli bardzo źle płatni i zjadali z głodu połowę potraw, które nieśli z kuchni do stołu. Aby temu przeszkodzić roznoszono w niektórych domach wszystkie potrawy w zamkniętych naczyniach, mających tylko jeden otwór, przez który kucharz mógł zajrzeć. — Jakie przecież ogromne bogactwa niektóre z tych rodzin posiadały, okazuje się z następnego przykładu: Przy śmierci książęcia Albuquerque potrzeba było sześciu tygodni na spisanie inwentarza wszystkich srebrnych i złotych naczyń; pozostawił on 400 tuzinów srebrnych talerzy, 500 mniejszych a 700 większych półmisków, i wiele innych naczyń w tymże stosunku; a czterdzieści srebrnych stopni, po których wstępowano do bufetu. — Książę Stillano miał jako członek rady indyjskiéj wyznaczoną pensyję 80.000 liwrów, nigdy jéj wszakże nie pobierał, gdyż, jak sam mawiał, nie godziło się takiemu jak on panu, podpisywać swe imię dla podobnéj drobnostki.

Prawy Francuz. O zmarłym niedawno paryzkim fabrykancie pilników Raoul opowiadają następną anegdotę: Napoleon, będący jeszcze pierwszym konsulem odwidził go raz *incognito* i rzekł do niego: »Żyjesz wpan w kraju gdzie przemysł mało popłaca; czemu nie udasz się raczéj do Anglii, gdzie podobne zasługi sowicie wynagradzane bywają.« — »Co,« odparł Raoul, »jabym miał sprzedać Anglikom moję tajemnicę! Jakkolwiek ubogi jestem, wolałbym raczéj z głodu umrzeć niż w ten sposób zyskiwać.« Następnego dnia przesłał mu Napoleon 50.000 franków i darował budynek do założenia w nim fabryki.

Kawiarnia w powietrzu. W awiniońskim dzienniku »*l'Indicateur*« czytamy: Na stoletnim modrzewiu na placu Crillon, urzadzono kawiarnię. Wychodzi się do tego belwederu schodami, które najprzód do małego na jednéj z gałęzi znajdującego się mostku prowadzą. Sama kawiarnia jest podłużnym czworobokiem, z poręczami, ławkami, siedmiu stołami i miejscem na piędziesiąt osób. Cała ta budowa, jak najpiękniej wyciosana i pomalowana, wspiéra się na potężnych gałęziach kolosalnego modrzewiu.

Pożytek mnemoniki. »Jeden z naszych współpracowników,« opowiada dziennik »Węgrzyn« — »który pożyczył komuś dzieło o sposobie wzmacniania pamięci, usiłowawszy przez cały rok naprawiać niem swą osłabioną pamięć, tak ją wydoskonalił, że niemoże sobie do dzisiejszego dnia przypomnieć: komu tę książkę wypożyczył.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.